

Arkady i Borys Strugaccy

Spotkanie

Aleksander Kostylin stał przy swoim ogromnym biurku i przeglądał lśniące fotogramy.

– Witaj, Lin – powiedział Łowca. Kostylin uniósł łysą głowę i zawołał:

– O! Home is the sailor, home from sea!

– And the hunter is home from the hlll – odpowiedział Łowca. Uścisnęli się.

– Co masz dla mnie ciekawego tym razem? – rzeczowo zapytał Kostylin. – Przyleciałeś prosto z Jajły?

– Tak, z Tysiącą Oparzelisk. – Łowca zasiadł w fotelu i wyciągnął nogi przed siebie. – A ty wciąż tyjesz i łysiejesz, Lin. Zgubi cię ten siedzący tryb życia, wspomnisz jeszcze moje słowa. Następnym razem zabiorę cię z sobą.

Kostylin z zatroskaną miną obmacał swój wielki brzuch.

– Tak – powiedział. – Baronowie starzeją się, baronowie tyją... Więc co mi przywiozłeś?

– Nic szczególnego, Lin. Żadnych rewelacji. Z dziesięć węży dwustrunowych, kilka nie znanych gatunków wiele – muszlowych mięczaków... Mogę przejrzeć? – Łowca wziął z biurka plik fotografii.

– Przywiózł to jeden debiutant. Znasz go?

– Nie. – Łowca oglądał zdjęcia. – Zupełnie nieźle. To, oczywiście, Pandora?

– Masz rację. Pandora. Gigantyczny rakopajak. Wyjątkowo wielki egzemplarz.

– Tak – powiedział Łowca wpatrując się w ultradźwiękowy karabin wsparty dla porównania rozmiarów o nagi żółty brzuch rakopajaka. – Nieźle jak na początkującego. Ale widywałem już większe sztuki. Ile razy strzelał?

– Mówi, że dwa razy. I za każdym razem w centralny splot nerwowy.

– Należało strzelać igłą anestetyczną. Chłopczyk troszkę się zdenerwował. – Łowca z uśmiechem patrzył na zdjęcie, na którym przejęty myśliwy dumnie wspierał nogę na martwym potworze. – No, dobrze, a co słyhać u ciebie w domu?

Kostylin machnął ręką.

– Istny urząd stanu cywilnego. Wszyscy się żenią. Marta wyszła za mąż za hydrologa.

– Która Marta? – zapytał Łowca. – Wnuczka?

– Prawnuczka, Paul! Prawnuczka!

– Tak – powiedział Łowca. – Baronowie się starzeją. – Odłożył zdjęcia na biurko i wstał. – No cóż, ja już chyba sobie pójdę.

– Znowu? – z niezadowoleniem zapytał Kostylin. – Może już starczy?

– Nie, Lin. Tak trzeba. Spotkamy się tam gdzie zawsze.

Łowca kiwnął głową i wyszedł. Zszedł do parku i skierował się w stronę pawilonów. Jak zwykle w Muzeum było bardzo tłumnie. Ludzie spacerowali po alejkach obsadzonych pomarańczowymi palmami z Wenus, gromadzili się wokół terrariów i przy wypełnionych przezroczystą wodą basenach, w wysokiej trawie pomiędzy drzewami biegały dzieci – bawiły się w „ciepło – zimno – Mars”. Łowca przystanął, by na nie popatrzeć. Była to ogromnie pasjonująca zabawa. Bardzo dawno temu z Marsa przywieziono na Ziemię mimikrodony, ogromne jaszczury o melancholijnym usposobieniu, wspaniale przystosowane do nagłych przemian w otaczającym je środowisku – idealnie opanowały umiejętność mimikry. W parku Muzeum korzystały z całkowitej swobody. Dzieci zabawiały się odnajdywaniem mimikrodonów – wymagało to niemałej spostrzegawczości i zręczności – a następnie przeciągały zwierzaki z miejsca na miejsce, żeby zobaczyć, jak mimikrodony zmieniają kolor. Jaszczury były wielkie i ciężkie. Dzieci wlokły je po ziemi trzymając za skórę na karku. Mimikrodony nie protestowały. Wyglądało na to, że zabawa sprawia im przyjemność.

Łowca minął ogromną przezroczystą kopułę chroniącą terrarium „Łąka z planety Rużena”. Pod kopułą na bladej niebieskawej trawie skakały i walczyły z sobą zabawne remby, gigantyczne, olśniewająco kolorowe owady, trochę podobne do ziemskich koników polnych. Łowca przypomniał sobie, jak to dwadzieścia lat temu po raz pierwszy polował na Rużenie. Siedział w zasadzce przez trzy doby oczekując na pojawienie się jakiegokolwiek zwierzęcia, a ogromne tęczujące remby skakały dokoła i siadały na lufie jego karabinu. Przy „Łące” zawsze pełno było ludzi, ponieważ remby są prześliczne i ogromnie pocieszne.

Nie opodal wejścia do centralnego pawilonu Łowca zatrzymał się przy balustradzie okalającej głęboki okrągły basen – studnię. W basenie, w świecącej liliowym światłem wodzie, bezustannie krążyło długie kudłate zwierzę – ichtiomammal, jedyny znany przedstawiciel ciepłokrwistych, oddychający skrzelami.

Ichtiomammal bez przerwy był w ruchu, pływał zataczając koło i przed rokiem, i przed pięcioma laty, i przed czterdziestoma, kiedy Łowca zobaczył go po raz pierwszy. Ichtiomammala z ogromnym trudem schwycił sławny Saillieu. Saillieu od dawna jest trupem, śpi wiecznym snem gdzieś w dżunglach Pandory, a jego ichtiomammal ciągle jeszcze zatacza kręgi w liliowej wodzie basenu.

W westybulu pawilonu Łowca znowu zatrzymał się i przysiadł na chwilę w lekkim foteliku stojącym w kącie. Środek jasno oświetlonej sali zajmowała wypchana latająca pijawka – „sora – tobu chiru” (świat zwierzęcy Marsa, System Słoneczny, typ wielostrunowce, gromada skórodyszne, rząd, rodzina, gatunek – „sora – tobu chiru”). Latająca pijawka była jednym z pierwszych eksponatów w Muzeum Kosmozoologii. Już od półtora wieku ten obrzydliwy potwór szerzył paszczę przypominającą wielołupinową szczękę koparki, witając każdego, kto wchodził do pawilonu. Dziewięciometrowy, pokryty twardą lśniąca sierścią, beznogi, bezoki... Niegdyś władca Marsa.

Tak, różnie bywało na Marsie – myślał Łowca. – Tego się nie zapomina. Pięćdziesiąt lat temu te bestie prawie całkowicie już wytępione, nieoczekiwanie znowu się rozmnożyły i zaczęły jak za dawnych lat uprawiać korsarstwo na szlakach komunikacyjnych łączących marsjańskie bazy. Wtedy właśnie przeprowadzono totalną obławę. Trząsałem się w crawlerze i prawie niczego nie widziałem w tumanach piasku, który wzbijały żelazne gąsienice. Z prawa i z lewa pędziły pustynne czołgi, wszyscy, którzy w nich siedzieli, zgłosili się na ochotnika. Jeden z czołgów wjechał na wydmę nagle się przewrócił i ludzie błyskawicznie wysypali się na piach, wtedy i my właśnie wyskoczyliśmy z chmury kurzu, a Ermler złapał mnie za ramię i wrzeszczał coś, wskazując przed siebie. Spojrzałem i zobaczyłem pijawki, setki pijawek – krążyły nad słonym jeziorem w dolinie między wydmami. Zacząłem strzelać, inni też zaczęli strzelać, a Ermler ciągle jeszcze nie mógł się uporać z raketomiotem własnej konstrukcji. Wszyscy na niego krzyczeli, wymyślali mu i nawet odgrażali się, że go pobiją, ale nikt nie mógł się oderwać od karabinu. Pierścień obławy zacieśniał się i widzieliśmy już błyski wystrzałów z crawlerów idących z przeciwnej strony, a wtedy Ermler przesunął pomiędzy mną a kierownicą zardzewiałą rurę swojej armaty, rozległa się potworna detonacja i ogłuszony i oślepiiony upadłem na dno crawlera. Jezioro zasnuł gęsty czarny dym, wszystkie maszyny stanęły, ustała strzelanina, a ludzie tylko wrzeszczeli i wymachiwali karabinami. Ermler w ciągu pięciu minut zużył całą posiadaną amunicję, crawlery podjechały do jeziora, a my wysiedliśmy, żeby podobać wszystko, co jeszcze ocalało po raketach Ermlera. Pijawki wiły się między czołgami, rozgniaty je gąsienice, a ja ciągle strzelałem, strzelałem... Byłem wtedy młody i bardzo lubiłem strzelać. Niestety, zawsze byłem świetnym strzelcem i nigdy nie chybiałem. A strzelałem nie tylko na Marsie i nie tylko do groźnych drapieżników. Lepiej by było, gdybym nigdy w życiu nie brał do ręki karabinu...

Łowca wstał, przeszedł obok wypchanego potwora i powlókł się wzdłuż galerii. Musiał wyglądać nieszczególnie, bo ludzie zatrzymywali się i patrzyli na niego zaniepokojeni. Wreszcie podeszła doń jakaś dziewczyna i nieśmiało zapytała, czy może mu być w czymś pomocna. „Zastanów się, co mówisz, dziewczyno” – powiedział Łowca. Uśmiechnął się z wysiłkiem, wsunął dwa palce w kieszonkę kurtki i wyciągnął przecudowną muszlę z Jajły. „To dla ciebie – powiedział – przywiozłem ją z bardzo daleka”. „Bardzo źle pan wygląda” – powiedziała dziewczyna. „Nie jestem już młody, córeczko – odparł Łowca. – My, starzy, rzadko kiedy dobrze wyglądamy. Zbyt wielki ciężar muszą dźwigać nasze dusze”.

Dziewczyna z pewnością go nie zrozumiała, ale też Łowca bynajmniej tego nie pragnął. Pogłaskał ją po głowie i poszedł dalej. Tylko, że teraz wyprostował ramiona, starał się trzymać prosto i ludzie więcej się z nim nie oglądali.

„Tego mi jeszcze brakuje, żeby dziewczęta się nade mną litowały – myślał. – Zupełnie się rozkleiłem. Chyba już nie powinienem wracać na Ziemię. Powinienem na zawsze pozostać na Jajle, zamieszkać na brzegu Tysiąca Oparzelisk i zastawiać żaki na rubinowe węgorze. Nikt nie zna lepiej ode mnie Tysiąca Oparzelisk, tam byłbym na swoim miejscu. Jest tam wiele zajęć dla myśliwego, który nigdy nie strzela...”

Łowca stanął. Zawsze zatrzymywał się w tym miejscu. W podłużnej szklanej skrzynce na kawałkach szarego piaskowca stała na trzech parach rozcapierzonych krzywych nóg pomarszczona, niepozorna, szarawa jaszczurka. Wśród zwiedzających szary sześcioróg nie wywoływał żadnych emocji. Tylko niewielu znało niezwykłą historię pomarszczonego gada. Ale Łowca ją znał i ilekroć tu przystanął, zawsze ogarniał go religijny nieomal zachwyt dla niepokonanej siły życia. Jaszczurka ta została upolowana w odległości dziesięciu parseków od Słońca, następnie spreparowana, wypchana i ustawiona tu, w Muzeum. Stała tak w gablocie przez dwa lata. I nagle pewnego pięknego dnia na oczach tłumu zwiedzających z pomarszczonej szarej skóry wylały dziesiątki maleńkich zwinnych sześciorogów. Co prawda w ziemskiej atmosferze wszystkie natychmiast poginęły, spaliły się w nadmiarze tlenu, ale szum się podniósł ogromny i zoologowie do dziś ciągle jeszcze się głowią, jak w ogóle mogło do tego dojść. Zaprawdę, życie jest tym jedynym, przed czym warto schylić czoło...

Łowca spacerował po galeriach przechodząc z pawilonu do pawilonu. Ostre afrykańskie słońce, dobre, gorące słońce Ziemi oświetlało oblane szklistym plastykiem zwierzęta zrodzone pod innymi słońcami, o

setki miliardów kilometrów stąd. Łowca znał prawie wszystkie, widywał je wiele razy i nie tylko w Muzeum. Niekiedy zatrzymywał się przed nowymi eksponatami, odczytywał dziwaczne nazwy dziwnych zwierząt i znajome nazwiska myśliwych. „Maltańska szpada”, „Kropkowany jo”, „Wielki tsin – lin”, „Mały tsin – lin”, „Kapucyn błonkonogi”, „Czarne straszidło”, „Łabędź królewna”... Simon Kreutzer Władimir Babkin, Bruno Belliard, Niolas Drouot, Jean Saillieu – junior... Łowca znał ich wszystkich i był teraz spośród nich najstarszy, choć nie miał może najwięcej szczęścia. Ale szczerze się ucieszył, kiedy Saillieu – junior złowił wreszcie łuskowatego skrytoskrzela, kiedy Wołodia Babkin dostarczył na Ziemię żywego mięczaka szybownika, a Bruno Belliard ustrzelił w końcu na Pandorze nosogarba z białą błoną, na którego polował od wielu lat...

Wreszcie Łowca dotarł do dziesiątego pawilonu, w którym było niejedno jego własne trofeum. Zatrzymywał się teraz przy każdej prawie gablocie, wspominał. „Oto »Latający dywan«, niekiedy zwany również »Spadającym liściem«. Przez cztery dni nie mogłem wpaść na jego trop. To było na Rużenie, gdzie tak rzadko padają deszcze, gdzie dawno, dawno temu zginął znakomity zoolog Ludwik Porta. »Latający dywan« porusza się bardzo szybko i ma wyśmienity słuch. Nie można na niego polować z pojazdu, trzeba go tropić dniem i nocą, szukając ledwie widocznych oleistych śladów na liściach drzew. Wytropiłem go i od tej pory nikomu innemu już się to nie udało. Saillieu, który bardzo mi tego zazdrościł, często później mawiał, że to był czysty przypadek” – Łowca z dumą dotknął wygrawerowanych na tabliczce liter: „Schwytał i spreparował P. Gniedych”. „Strzelałem do niego cztery razy i ani razu nie chybiłem, ale on żył jeszcze, kiedy spadał na ziemię łamiąc gałęzie zielono – piennych drzew. To było za czasów, kiedy jeszcze strzelałem...”

A oto ślepy potwór z przesyconych ciężką wodą bagien Władysławy. Ślepy i bezkształtny. Nikt nie wiedział naprawdę, jaki mu nadać kształt, kiedy wypychano skórę, wreszcie posłużono się najbardziej udaną fotografią. Gonilem go przez bagniska do brzegu, na którym zastawiłem kilka pułapek, wpadł do jednej z nich i długo potem ryczał wijąc się w czarnej cieczy. Trzeba było aż dwóch wiader beta – nowokainy, żeby go wreszcie uspić. To było całkiem niedawno, może dziesięć lat temu, wtedy już nie strzelałem... „To jest przyjemne spotkanie”.

Im dalej zagłębiał się Łowca w galerie dziesiątego pawilonu, tym powolniejsze stawały się jego kroki. Dlatego, że bardzo nie chciał iść dalej. Dlatego, że nie mógł nie iść dalej. Dlatego, że zbliżało się spotkanie najważniejsze. I z każdym krokiem przybierało na sile uczucie beznadziejnego niepokoju. A zza szkła już mu się przyglądały okrągłe białe oczy.

Jak zwykle podszedł do niewielkiej gabloty i przede wszystkim przeczytał napis na tabliczce, napis, który od dawna znał na pamięć: „Zwierzęcy świat planety Crookesa, system Gwiazdy EN 92, typ – kręgowce, gromada, rząd, rodzina, gatunek – trójpalczak czteroreki. Upolował P. Gnie – dych. Spreparował dr A. Kostylin”. Potem Łowca podniósł oczy.

W przeszklonej gablocie na pochyło ustawionej, gładko wypolerowanej desce leżała mocno spłaszczona wzdłuż osi poziomej głowa, naga i czarna, z płaskim owalem twarzy. Skóra na przedniej części głowy była gładka i napięta jak na bębnie, nie było warg, nie było czoła, nie było nozdrzy. Były tylko oczy. Okrągłe, białe, o niezwykle szeroko rozstawionych maleńkich czarnych źrenicach. Prawe było lekko uszkodzone i to nadawało martwemu spojrzeniu dziwaczny wyraz. Lin był znakomitym fachowcem – dokładnie taki sam wyraz oczu miał trójpalczak, kiedy Łowca po raz pierwszy pochylił się nad nim w gęstej mgłę. Dawno to było temu...

To było przed siedemnastu laty. „Dlaczego to się musiało stać? – pomyślał Łowca. – Przecież wcale nie zamierzałem tam polować. Crookes stwierdził przecież, że na planecie nie ma wyższych form życia, znaleziono tylko bakterie i raczki lądowe. Niemniej kiedy Saunders poprosił mnie, żebym zbadał okolicę, zabrałem na wszelki wypadek karabin...”

Nad kamiennymi osypiskami wisiała mgła. Wschodziło właśnie maleńkie czerwone słońce – czerwony karzeł EN 92 – i wydawało się, że mgła jest purpurowa. Pod miękkimi gąsienicami łązika osypywały się kamienie, z mgły wynurzały się po kolei niewysokie ciemne skałki. Potem coś się na szczycie jednej takiej skałki poruszyło i Łowca zatrzymał łązika. Z tej odległości trudno było zobaczyć zwierzę, a do tego jeszcze ta mgła i to niesamowite oświetlenie. Ale Łowca miał znakomite oko i był doświadczonym myśliwym. Było dla niego oczywiste, że po skałce maszeruje jakieś spore zwierzę, i Łowca ucieszył się, że zabrał ze sobą broń. „Zrobimy z Crookesa balona” – pomyślał wesoło. Otworzył klapę włazu, ostrożnie wysunął lufę karabinu na zewnątrz, wycelował. W chwili gdy mgła nieco przerzedła i garbata sylwetka zwierzęcia ostro zarysowała się na tle czerwonego nieba – strzelił. I natychmiast z miejsca, w którym znajdowało się zwierzę, buchnął oślepiający fioletowy błysk. Rozległ się głośny trzask, a potem jakiś przeciągły syk. Potem zza żlebu uniosły się kłęby szarego dymu i przyciemniły różową mgłę.

Łowca bardzo się zdziwił. Doskonale pamiętał, że/załadował karabin igłą anestetyczną, która w żadnym razie nie mogła spowodować takiego wybuchu. Po kilkuminutowym namyśle wyszedł z tankietki i udał się

na poszukiwanie zdobyczy. Znalazł ją tam, gdzie spodziewał się ją znaleźć – na kamiennym osypisku pod skałą. Było to istotnie czworonożne albo czwororękie zwierzę wielkości dużego doga, ale tak straszliwie poparzone i okaleczone, że Łowca znowu się zdumiał na widok masakry, którą spowodowała zwykła anestetyczną igłą. Trudno było sobie teraz nawet wyobrazić, jaki mógł być pierwotny wygląd zwierzęcia. Stosunkowo nieuszkodzona była tylko przednia część głowy – płaski owal, obciągnięty gładką skórą i białe zagasłe oczy.

Na Ziemi upolowanym zwierzęciem zajął się Kostylin. Po tygodniu zawiadomił Łowcę, że jego zdobycz jest bardzo uszkodzona i nie stanowi żadnej rewelacji – chyba że będzie się ją traktowało jako dowód istnienia wyższych form życia w systemach planetarnych czerwonych karłów – i poradził Łowcy, aby w przyszłości z termitowymi nabojami obchodził się ostrożniej. „Można by pomyśleć, że strzelałeś do niego ze strachu – powiedział rozdrażniony – zupełnie jak gdyby zamierzało na ciebie napaść”. „Ale ja świetnie pamiętam, że strzelałem do niego igłą” – upierał się Łowca. – „A ja świetnie widzę, żeś je trafił termitową kulą w kręgosłup” – odpowiedział mu Lin. Łowca wzruszył ramionami i nie przeczył dłużej. Oczywiście, ciekawe byłoby dowiedzieć się, co spowodowało taką eksplozję, ale w końcu nie to jest przecież najważniejsze.

„Tak, wtedy się wydawało, że to zupełnie nie ma znaczenia – rozmyślał Łowca. Wciąż jeszcze stał zapatrzony w płaską głowę zwierzęcia. – Pośmiałem się z Crookesa, posprzeczałem się z Linem i zapomniałem o wszystkim. A potem przyszło zwątpienie, a w ślad za nim – nieszczęście”.

Crookes zorganizował dwie wielkie ekspedycje. Przeszukał na swojej planecie olbrzymie przestrzenie. I nie znalazł ani jednego zwierzęcia, które przekraczałoby rozmiarami małego raczka. Za to na południowej półkuli, na skalistym płaskowzgórzu odkrył nie wiadomo czyje pole startowe – okrągłą płaszczyznę stopionego bazaltu o średnicy mniej więcej dwudziestu metrów. W pierwszej chwili to odkrycie wzbudziło zainteresowanie, ale później okazało się, że gdzieś w tym rejonie lądował Saunders na gwiazdolicie, który wymagał niewielkiego remontu, i wszyscy o odkryciu Crookesa zapomnieli. Wszyscy oprócz Łowcy. Ponieważ już w tym czasie zrodziły się pierwsze wątpliwości.

Kiedyś, przypadkiem, w leningradzkim Klubie Astronautów Łowca usłyszał historię o tym, jak to na planecie Crookesa omal nie spłonął żywcem inżynier pokładowy. Wyszedł na powierzchnię planety z uszkodzoną butlą tlenową. W butli był przeciek, a atmosfera planety Crookesa nasycona jest lekkimi węglowodorami, które gwałtownie reagują z tlenem. Na szczęście zdołali zerwać z chłopaka płonąca butlę i skończyło się tylko na lekkich poparzeniach. Łowca słuchał tej opowieści i przed jego oczyma pojawił się fioletowy błysk nad czarną skałą.

Kiedy na planecie Crookesa odkryto to nieznane pole startowe wątpliwości przerodziły się w straszną pewność. Łowca popędził do Kostylina. „Kogo ja zabiłem?! – krzyczał. – To było zwierzę, czy człowiek? Lin, kogo ja zabiłem?” Kostylin słuchał i twarz nabiegała mu krwią, wreszcie ryknął: „Siadaj! Przestań histeryzować jak stara baba! Jak śmiesz tak do mnie mówić? Myślisz, że ja, Aleksander Kostylin, nie jestem w stanie odróżnić istoty rozumnej od zwierzęcia?” – „Ale to pole startowe!”... – „Sam lądowałeś na tym płaskowzgórzu razem z Saundersem...” – „Eksplozja!... Przeszeliłem mu butlę z tlenem!” – „Nie trzeba było strzelać termitowymi nabojami w węglowodorowej atmosferze” – „Nawet gdyby było tak, jak mówisz, to przecież Crookes nie znalazł tam ani jednego więcej trójpalczaka! Teraz wiem, to był obcy astronauta!” – „Baba! – wrzeszczał Lin. – Histeryczka! Na planecie Crookesa mogą jeszcze przez najbliższe sto lat nie znaleźć ani jednego trójpalczaka! Ogromna planeta, pełna grot i pieczar, dziurawa jak ser szwajcarski! Miałeś po prostu szczęście, głupi durniu, tylko że nie umiałeś go wykorzystać, i zamiast zwierzęcia przywoziłeś mi trochę zwęglonych kości!” Łowca zacisnął pięści, aż zatrzeszczały stawy.

– Nie, Lin – wymruczał. – Ja ci nie przywoziłem zwierzęcia, przywoziłem ci kości obcego astronauty...

„Ile słów straciłeś niepotrzebnie, Lin! Ile razy mnie przekonywałeś! Ileż razy mi się wydawało, że wątpliwości minęły raz na zawsze, że znowu mogę oddychać spokojnie i nie czuć się mordercą... Że mogę żyć jak wszyscy ludzie. Jak te dzieci, które bawią się mimikrodonami... Ale sprytnym sylogizmem nie da się zabić zwątpienia”.

Łowca położył dłonie na przezroczystym pudle i przywarł twarzą do plastyku.

– Kim jesteś? – zapytał z beznadziejnym smutkiem.

Lin zobaczył go z daleka i jak zawsze zrobiło mu się ogromnie żal tego śmiałego i wesołego niegdyś człowieka, załamane pod ciężarem własnego sumienia. Ale Kostylin udął, że wszystko jest w najlepszym porządku, że wszystko jest równie wspaniałe, jak wspaniałe jest słoneczny dzień nad Cape Town. Głośno postukując obcasami podszedł do Łowcy, poklepał go po plecach i umyślnie rześkim głosem zawołał:

– Koniec spotkania! Głodny jestem jak wilk, Polly!

Idziemy teraz do mnie na pyszny obiad! Marta ugotowała dziś na twoją cześć prawdziwą ochsenschwanzsuppe! Chodźmy, Łowco, ochsenschwanzsuppe czeka!

– Chodźmy – cicho powiedział Łowca.

– Już dzwoniłem do domu. Nie mogą się doczekać, kiedy cię zobaczą, marzą o wysłuchaniu twoich opowiadań.

Łowca skinął głową i powoli poszedł w kierunku wyjścia. Lin popatrzył na jego przygarbione plecy i odwrócił się. Jego oczy napotkały martwe spojrzenie oczu zza przezroczystej tafli. „Porozmawialiście sobie?” – zapytał w milczeniu Lin. „Tak”. – „Nic mu nie powiedziałaś”. – „Nie”. Lin spojrział na tabliczkę... „trójpalczak czteroręki. Upolował P. Gniedych. Spreparował dr A. Kostylin”. Lin znowu obejrzał się na Łowcę i szybko, ukradkiem, dopisał palcem po słowie „czteroręki” słowo „sapiens”. Na tabliczce nie pozostał oczywiście żaden ślad, ale Lin i tak pośpiesznie przetarł ją dłonią.

Doktorowi Aleksandrowi Kostylinowi też było ciężko. On przecież wiedział z całą pewnością, wiedział od samego początku...

Przełożyła Irena Lewandowska